

Nieoczekiwanie, bez zapowiedzi, po zakończeniu afrykańskiego rejsu w domu pojawił się Olgierd. Trudno było Renacie utrzymywać przed nim wiadomość o powolnym upadku wydawnictwa *Image*, jej miejscu pracy. Gdyby doszło do zwolnień, to ona byłaby pierwsza na liście, bo jest dobrze sytuowana, ma nieźle zarabiającego męża, dom. Powiedziała o tym trzeciego dnia jego urlopu w kraju, a on nawet nie spytał, co zamierza robić w sytuacji, gdyby dostała wypowiedzenie z pracy, jakby brał na swe barki utrzymanie żony także po rozwodzie. Jego niechęć do podejmowania pewnych tematów zastanawiała Renatę i budziła najróżniejsze podejrzenia.

Z sądu nie nadeszło żadne zawiadomienie o terminie rozprawy, za to chief Olgierd Rup dostał wezwanie do zamustrowania się na statku wpływającym za tydzień do Vancouver. Renatę cieszyła opieszałość sądu, było też jej na rękę, że Olgierd odleci. Nawet nie spytała go, czy z rejsu wracał prosto do domu, czy gdzieś nie zatrzymał się, wykorzystując urlop. To do niego podobne. Przecież nie miał powodu, by się śpieszyć do domu. Jej teraz przede wszystkim zależało na czasie, chciała go mieć jak najwięcej, by spokojnie pomyśleć o sobie i o swojej przyszłości. I modliła się, by nie doszło do upadku wydawnictwa, a jeżeli już, to trochę później.

Olgierd nie powiedział jej, że planuje przedłużenie urlopu na lądzie.

Renata mimo złej sytuacji i nie najlepszych widoków na przyszłość, korzystała z praw średniego wieku — dbała o siebie. Nie żałowała na masażystkę, fryzjerkę i krawcową. Zjawiała się w domu jak barwny motyl, a gdy Olgierd robił jakieś wyrzuty, ściągała brwi i martwiła się tym, że wciąż nie jest pewna, co z nią będzie, gdy firma padnie. I mimochodem informowała, że musi, ale to koniecznie musi pójść odświeżyć sobie manicure i w najbliższym czasie posłuchać rad wróżki.

Kapitulował przed urodą Renaty. W takich momentach najchętniej siadłby koło niej i pozwolił ożywić się swym zmysłom. Przekroczyła półmetek życia, jest jego żoną, a jednak... Czy to zauroczenie nie bierze się stąd, że nigdy nie miał dość czasu, by się nacieszyć nią do przesytu? Zabrakło mu jednak odwagi, by wziąć ją w ramiona. Pożądanie gasiły zimne słowa, jakie w niechęci do siebie wypowiedzieli oraz pamięć o staraniach rozwodowych. Otwierał wówczas barek, wyciągał butelkę wódki, kieliszki. Alkohol wprowadzał go w stan obojętności na wszystko, przenosił w krainę bezmiernej nijakości, w świat absolutnego pogodzenia się z losem.

Co jakiś czas Renata przywoływała go przed telewizor. Różne programy o gospodarce, finansach, podatkach, kondycji nowych firm przekonywały o jednym — w kraju opłaca się zakładać własne przedsiębiorstwa, inwestować w nie, bo te pieniądze

się zwracają. Po takich programach długo patrzyła na męża, j e s z c z e męża, spodziewając się komentarza, czy jakiejś pomocy w rozstrzygnięciu jej dylematu, ale on wciąż zachowywał w tej sprawie bezpieczny dystans. Sam się nieraz dziwił, że przywołuje go przed telewizor, czeka na opinię o poruszanych problemach, że toleruje jego towarzystwo. Dawał jej tak niewiele, był wobec niej tak mało życzliwy, a jednak nie robiła mu z tego powodu wyrzutów, nie domagała się niczego więcej, poprzestając na tym, co on proponował czy przekazywał. Była pełna zrozumienia dla jego słabości i cierpliwa w czekaniu.

Kiedy dochodziło do poważniejszej sprzeczki, kończącej się z jego strony pytaniami: dlaczego...? po co...? — słyszał w odpowiedzi: „Bo j a tak chcę!”. Był to wystarczający argument, tak silny, że nie miał odwagi kwestionować. Kierował się więc do barku, otwierał go, wyciągał butelkę starki. Kieliszek mocnej wódki o jasnobrązowej barwie natychmiast unosił go w powietrze jak silny podmuch wiatru dziecięcy latawiec. Z jastrzębią swobodą kołował nad Renatą. Nie, nie tryumfował. Ona miała tyle wyrozumiałości dla jego słabości, więc dlaczego i on nie może okazać jej trochę życzliwości? „Jesteś wspaniała — zachwycał się żoną. — Zawdzięczam ci tak w i e l e ! ” . Jej wargi wydłużały się w ptasi dzióbek i wysyłała w stronę mężczyzny krótki pocałunek, a chwilę potem bujnymi, falistymi włosami wstrząsał wulkaniczny wybuch, niszczący wszelkie ślady ludzkich uczuć. „Ironia nie pasuje do ciebie, mój maleńki”. Lały się strumienie gorącej lawy. „Czy zasłużyłam na nią? Czym, powiedz, czym?”. Błękitne oczy pokrywała mgiełka, usta wykrzywiały się w grymasie płaczu. „Mam przy tobie tylko milczeć? Dobrze, mogę. Przecież przez te wszystkie lata współżycia z tobą przyzwyczaiałam się do tej roli. Byłam jednym wielkim milczeniem. Moje małżeństwo to pogodzenie się z tym, czego nie mogłeś mi dać i milczeniem o tym”. Olgierd wychylał drugi kieliszek starki. Zgromadzone przez lata w dębowych beczkach ciepło rozlewało się po wnętrznościach, jak rzeki dyluwialnej powodzi, jak gwałtowne potoki tropikalnej ulewy. Czuł, że jeszcze jeden kieliszek, a utonie. Nie potrafił się jednak oprzeć pragnieniu i pił trzeci, potem czwarty i piąty. Renata oplatała go ramieniem i prowadziła do sypialni „Co ty z siebie robisz? — skarżyła się zmęczona. — Czy mało mam swoich kłopotów, żeby potrzebna mi była do tego ta twoja błazenada?”. W jego uszach zabrzmiały dzwoneczki trefnisia. On błaznem? Jego to miała na myśli. Klown cyrkowy! Chyba nie dlatego, że zabawia trafnymi uwagami, rozśmiesza anegdotami? Jest pajacem, bo przekroczył pewną granicę, bo zasługuje na współczucie w tym normalnym, poważnym świecie. Mijał dzień, przez okno wkradała się szarość, gałęzie drzew smętnie żegnały twarz

zdeformowaną pijackim zmęczeniem. „Do diabła! — oburzał się, raz po raz odzyskując bolesną świadomość istnienia i obecność Renaty. — Czy nie mam prawa do intymności?”. Nie spuszczała z niego oczu, jakby na koniec ich współżycia pragnęła poznać partnera jeszcze od tej strony, najgorszej. Po co? Może dlatego, by nie żałować rozstania z nim? Naprawdę miała nad nim przewagę! Nienawidził Renaty za to. Jednak wbrew temu uczuciu w ciągu tych kilku dni, zanim odleci do Vancouver lub innego portu wskazanego przez armatora, pragnął być dla niej miły, powiedzieć coś serdecznego, wytłumaczyć się, usprawiedliwić, nim zapadnie noc, nim on pograży się we śnie... „Reniu... — szepnął, dławiąc się nadmiarem serdeczności. — Życie, wiesz...” — przejawiał gotowość do poważnej rozmowy, ale brakowało mu sił. A ona cierpliwie wsłuchiwała się w bełkotliwie wypowiedane sylaby, starając się z nich coś odtworzyć, jakiś sens pijackiego wysiłku. „Rozum...”. W odpowiedzi przytaknęła głową. Dostrzegł to lekkie skinienie i dlatego pragnął wyrazić wdzięczność. Brakowało mu odpowiednich słów: krótkich, łatwych do wypowiedzenia, więc sięgnął po jej dłoń i przytknął do ust. W ułamku świadomości zobaczył tę namiętnie ucałowaną dłoń, odsuwającą się od niego, wycieraną o suknię. „Ty... — jęknął zrozpaczony. Podniósł się i oparł na łokciach. — Ty... — szukał jej oczu, a ona oddalała się za mglisty horyzont, dalszy niż Vancouver. — Ty...”. — przywoływał ją i błędził po pokoju zmęczonymi oczyma, jak po długim wpatrywaniu się podczas rejsu w ekran pustego radaru, bez rozbitka potrzebującego pomocy.

Renata cała była w lekkiej zieleni. Patrząc na nią, chciałby wyłuskać ją z tego, co ją okrywało i dotrzeć do środka, podobnie jak w dzieciństwie do ciemnobrunatnego owocu kasztana w zielonej, kolczastej torebce.

Jakże bliskie były mu smutna melodia i słowa piosenki Mariah Carey:

*No I can't forget this evening*

*Or your face as you were leaving*

*But I guess that's just the way*

*The story goes*

*You always smile but in your eyes*

*Your sorrow shows*

*Yes it shows<sup>1</sup>*

---

<sup>1</sup> No, I can't forget... (ang.) Nie mogę zapomnieć tego wieczoru ani twojej twarzy, gdy wyjeżdżaliśmy, ale myślę się, że po prostu tak historia toczy się dalej. Nawet gdy się śmiejesz, w twoich oczach zawsze widać smutek (wolne tłum. red.).

\* \* \*

Czas płynął, kryzys na rynku wydawniczym pogłębiał się, wpływy ze sprzedaży nie wystarczały na realizację planów wydawniczych, na zawieranie umów z autorami, tłumaczami, grafikami. Renata musiała brać to pod uwagę.

Miała sen, który nie dawał jej spokoju. Śnił się jej las z wysokimi drzewami, prześwietlony słońcem rażącym w oczy błędzącej Renaty ubranej w długą białą suknię, w kapeluszu z wielkim rondem, przechodzącą od drzewa do drzewa, dotykającą pni jakby była ślepa i szukała wyjścia z lasu. Na jej drodze pojawił się strumień. Weszła do niego i stąpała po jego powierzchni, jak iluzjonista Criss Angel po wodzie w basenie kąpielowym. Na twarzy miała zadowolenie, przekonanie, że to koniec z kłopotami. Ale gdy zjawiła się na brzegu, a jej stopy wbiły się w mech, znów błędziła od pnia do pnia, nie widząc końca wędrówki, nie mogąc znaleźć miejsca dla siebie.

Szukała wyjaśnienia snu w kilku dostępnych książkach o marzeniach, symbolach, ale nic nie znalazła.

Z długopisem w ręce, z kartkami papieru przed sobą, z *Dumką na dwa serca* Edyty Górniak i Mieczysława Szcześniaka w uszach, zaczęła myśleć o prywatnej agencji wydawniczej, wspieranej przez sponsorów, przyjaciół, artystów. Na rozkręcenie jej nie musiała mieć fortuny, ale trochę gotówki było niezbędne, by ostrzej wejść na konkurencyjny rynek z tysiącami już oficyn wydawniczych. Liczyła na przychyłność Olgierda, pozwalającego zacząć działalność w domu, w największym pokoju nazwanym salonem, na pewne wsparcie finansowe również. Nie powiedział, że się zgadza, nie stwierdził, że nie da ani grosza. Nie mówił też, że jest przeciwny zmianie funkcji domu mieszkalnego na inną, usługową. Nie zachęcał do działania, nie odwoził też od pomysłu kreowania żony na kobietę interesu. W zasadzie nic nie wstrzymywało jej od stawiania pierwszych kroków. Ale wciąż była zdezorientowana. Nie miała pojęcia, co powinna wydać, by się tego nie wstydzić, a równocześnie by na tym nie stracić. Z tym problemem postanowiła zwrócić się do przyjaciół. Urządziła dla nich przyjęcie. W salonie.

Jeszcze nikt nie zdążył opróżnić kieliszka, a pytania Renaty przemknęły od gościa do gościa, zaczęły wprost lub podchwytliwie. Natychmiast się zorientowali, że nie ściągnięto ich bezinteresownie, zaczęli się cenić, każde dłuższe zdanie podlewać alkoholem, cedzić słowa, ważyć to na nożu z masłem, to na widelcu z szynką czy salami, zieloną oliwką nadziewaną czerwoną papryką na wykałaczce. Próbowano też przed

natręctwem gospodyni uciec w dowcip, w polityczne anegdoty, w towarzyskie plotki, bo przecież nikt nie miał pojęcia, na jakiej książce można w tych latach kryzysu zarobić i nie wstydzić się. Jednak redaktorka Renata Rup była uparta i pilnowała porządku.

Zenon Fac, dziennikarz z regionalnej gazety z Podwała, wypił dużo. Chciał być dowcipny. Głos miał donośny, każdego przekrzykiwał, a jego rechot wypełniał wszystkie pomieszczenia domu. Olgierd zastanawiał się, po co ten człowiek został przez żonę zaproszony? Według niego to kabotyn, który co najwyżej może być bawidamkiem. Widocznie samotne kobiety lubią towarzystwo takich. Nagle usłyszał odgłos bicia własnego serca. „Do diabła” — pomyślał. — „Z nim?” — Spojrzał w stronę żony wzrokiem wbijającym się w niego z nabożeństwem młodej redaktorki. A więc z nim? Z tym facetem o twarzy jakby w prosektorium prokuratury sądowej wyciągniętej z formaliny, o wilgotnych dłoniach i niespokojnych złodziejaskowatych oczkach?! Wstrząsnął nim dreszcz obrzydzenia, szybko sięgnął po kieliszek, energicznie podniósł do ust i przechylił ze wściekłym alkoholycznym pragnieniem, by wymazać z pamięci podejrzenie — nie, nie, Renata ma lepszy gust. Z takim na pewno by się nie zadawała!

Do głosu dorwał się Bartłomiej Kłyś, prozaik, felietonista, pisujący w społeczno-kulturalnym miesięczniku *Odra* najczęściej pod pseudonimem Korneliusz. Mówił wzniośle i mętnie o roli książki w życiu społeczeństwa, o groźbie rozmycia się tożsamości narodowej z powodu braku dostępu do kultury i oświaty, a wystąpienie zakończył gorącym apelem do Renatki, by koniecznie powołała do życia ambitne, o wyraźnym profilu wydawnictwo, a on z wdzięczności w *apendyksie* do pisanej powieści złoży jej odpowiedni hołd. Olgierd w trakcie wygłaszanego przemówienia bacznie obserwował twarz gładkiego pochlebcy. Biła z niej taka obłuda, tak wielkie wyrafinowanie, że zwątpił, by Renacie mogło jego towarzystwo odpowiadać. Widocznie zaprosiła go, gdyż chciała gościć kogoś ze środowiska literackiego, a on poza tym pełnił w nim jakąś funkcję przewodniczącego czy prezesa któregoś z lokalnych oddziałów związku lub stowarzyszenia. Nieważne którego.

— Mówi pan o profilu, panie Bartku, co należy w nim uwzględnić? — spytała Renata, zbliżając się do niego w swej cieniutkiej, zwiewnej, różowej sukni, przez którą w świetle lamp przebijała złocista skóra i bielizna z włoskiego magazynu *Stella*.

Pisarz stanął krzywo na przygiętych nogach w szerokim rozkroku, jakby zsiadł z konia po długim, męczącym cwałowaniu, wznosił ręce w geście celebranta.

— Ja mam odpowiadać? — Przechylił ciężką głowę z uśmiechem udanego zakłopotania. — Nie twórców należy o to pytać, a socjologów, polityków. — Posmutniał,

spoważniał, nieco się wyprostował w kolanach, ale wciąż stał pokracznie, gestami oraz głosem jeszcze bardziej przypominał moralizatora. — Do duszy narodu trzeba się zwrócić. — Skinął kilka razy ociężałą od odkrywczych myśli głową.

Zenon Fac zarechotał.

— A powiedz mi, Bartku — mierzył kieliszkiem w pisarza — gdzie tej duszy szukać? Wśród handlarzy zachodnim śmieciem? W armii biednych studentów i nauczycieli? W emigrujących do Irlandii, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Włoch? I z uczuciem klęski powracających stamtąd? Wśród zagubionych, bezradnych, przeklinających swój los ludzi nieprzydatnych, zbędnych?

Żubrzy łeb zwrócił się w stronę zmiętej gęby dziennikarza.

— A dlaczego nie? Myślisz, że oni nie mają duszy?

— Ja wiem, co odpowiedzą.

— I powinienes, to twój obowiązek żurnalisty.

— Zgoda. — Sięgnął po butelkę, przelał z niej do kieliszka. — Oni mają gdzieś i wydawnictwo, i książki. Oni wszystko mają gdzieś! A jeżeli o czymś myślą, to jak przetrwać. Tak, tylko o przetrwaniu! Jest jedna prawda o współczesnym świecie, jedno pragnienie: przetrwanie. Reszta to szajs, gówno, czyli frazesy.

Zapadła kłopotliwa cisza.

Renata zaczęła gorliwie zapraszać do częstowania się, poprosiła męża, by napełnił puste kieliszki, zaszczębiotała coś na temat sytuacji przejściowej, transformacji ustrojowej. Ple, ple, ple. Mąż podziwiał ją: umie sobie radzić! Co za mądrość, takt, panowanie w krytycznym momencie!

— Ma rację! — Przerwał jej paplaninę Marek Raczek, dziennikarz śledczy, co zaniepokoiło Olgerda. — Rzadko się z Zenkiem zgadzam, ale tym razem, choć niechętnie, muszę. Wyczerpała się energia społeczeństwa, zgasł entuzjazm, jak pożar stogu słomy. Żadne hasło nie ma już mocy dźwignąć tego narodu zmęczonego politykami, ich partyjnymi rozgrywkami, przedwyborczymi kłamstwami, powyborczym rozleniwieniem.

Pisarz gwałtownie się obruszył:

— Błędna diagnoza. Naród w pełnej gotowości czeka, wciąż czeka na oświecenie mądrością głębokich przemyśleń, wielowiekowych doświadczeń, tęskni za dobrem, szlachetnością, wartościami ponadczasowymi, autorytetem takim, jakim był polski papież.

Mówił, wygłaszał swe poglądy, obwieszczał z patosem podlewanym alkoholem, a dziennikarz cały czas przecząco kręcił głową.

— Nie wierzę — dorwał się w końcu do głosu Marek Raczek — byśmy się mogli odrodzić szybko, jak Feniks z popiołów. Nie wierzę w prędkie zmartwychwstanie narodu. Módlmy się o siły do przetrwania, godniejszego przetrwania. Tyle!

W mrowisko wsunięto kij. Wypowiadali się wszyscy jednocześnie. Protestowano, pytano o coś, popierano Marka Raczkę, to stawano w opozycji, a on zapadał, jak gasnąca gwiazda, znikał z oczu biesiadujących, stawał się przykrym wspomnieniem towarzyskiego incydentu. Owady z mrowiska rozbiegły się, nie można było ich zapędzić do kopczyka bez wsparcia wysiłku alkoholem.

Olgierd Rup był zainteresowany tylko Raczką. Nie poznawał go. Przecież jeszcze nie tak dawno ten człowiek o coś zabiegał, chciał walczyć ze swymi przeciwnikami. Co się z nim stało? Jakie siły wtrąciły go w otchłań rezygnacji? Może i on, jak Renata szuka dla siebie pracy?

Wstał i podszedł do niego.

— Chodź, przejdźmy się — zaproponował.

— Kiedy dobrze mi tu — usłyszał w odpowiedzi.

— Proszę cię — nalegał gospodarz.

— Piekielnie dobrze mi tu.

— Chcę z tobą porozmawiać — nie ustępował chief.

— A jest jeszcze o czym?

— Przekonasz się.

— Bądź konkretny w ten miły wieczór.

— Nalegam. To nie jest towarzystwo dla ciebie.

— Skoro tak... — Ustępował niechętnie. — W końcu to za twoje pieniądze pijemy.

Ledwo podnieśli się, zaraz przyfrunęła Renata.

— Co tak szepczecie do siebie, spiskowcy?

Olgierd odsunął się od Marka Raczkę.

— Oczywiście zastanawiamy się nad profilem twego wydawnictwa.

— Czyżby? — Nie dowierzała mężowi.

Marek Raczek uniósł rękę.

— Poproszę o głos — rzekł. Zapanowała cisza. — Mam pomysł na agencję wydawniczą. Dobry plan. Chcecie posłuchać? — Omiótł spojrzeniem siedzących. — Wydawnictwo dla jednoczącej się Europy. Taaak!

Renata uderzyła w dłonie, lecz nie rozległ się żaden odgłos klaśnięcia.

— Świetna myśl! — Zachwycała się z kobietą przymilnością, jakby pamiętała o tym, że została stworzona, by podziwiać mężczyznę. Każdego. Jednak po chwili prawdopodobnie uprzytomniła sobie ogólnikowość wypowiedzi Marka Raczka. — A konkretnie co proponujesz? — spytała rzeczowo.

Zagadnięty wynurzył się z kosmicznych mgławic i spoglądał na nią ni to ze współczuciem, ni to złośliwie, w każdym razie bez sympatii.

— Nową literaturę, literaturę pozbawioną historycznych odniesień, historycznych konfliktów, dziejowych tryumfów. Nie będzie w niej miejsca dla Duńczyków napadających na Pomorzan, ani Germanów podbijających Polan. Wykreśli się z niej Cedynię, Grunwald, Wiedeń, zwycięstwa polskiej husarii nad wojskami rosyjskimi pod Kłuszynem, klęskę zadaną Turkom pod Chocimiem, a także Cud nad Wisłą. Znikną z kart książek Katyń, Auschwitz, pogromy na Podolu. Wojny i bitwy będą przypominać grę w szachy: czarne pionki walczą z białymi. I tylko tyle. — Spojrzał drwiąco na byłą redaktorkę. — Ty już wiesz, jak to robić, prawda? — Widelec w długich palcach Renaty zadzwonił o talerz, do twarzy uderzyła krew. obrońca prawd historycznych nie zamierzał jednak poprzestać na tej złośliwości, zlekceważył stukanie widelcem, prośbę Renaty, by ją dopuszczono do głosu, znów mówił: — Wydawnictwo tylko dla książek, które będą się podobać naszym sąsiadom. Na przykład: „Historyczne przykłady amoralności Słowian” albo „Seksualizm a zboczenia Słowian”. — Pogłębiła się wroga cisza. — Możesz poza tym rozpocząć wydawanie poradników, czyli jak najszybciej nauczyć czytelnika wykonać rzeczy absolutnie nieużyteczne w każdej dziedzinie życia codziennego. — Zaśmiał się drwiąco. — Zastanów się, czy nie rozpocząć serii dla siwiejących kobiet, które nie wiedzą, co zrobić ze swoim jałowym życiem?

Posunął się za daleko. Chyba z tą opinią potępienia dziennikarza zgadzali się wszyscy, lecz nikt nie miał pojęcia, jak taktownie zareagować? Renata była bliska płaczu, błagalnie patrzyła to na męża, to na sąsiada. „Przestań” — prosiło jej spojrzenie. — „Nie rań mej duszy”. Lecz on nie wyrzucił z siebie jeszcze tego wszystkiego, co go gnębiło, znów przemówił:

— Przetrawianie... — smakował to słowo i odnalazł w nim gorycz, skrzywił się boleśnie. — Przetrawianie nielicznego gatunku... Przetrawianie plemienia opóźnionego w rozwoju cywilizacyjnym... Przetrawianie w warunkach ekstremalnych... Powszechna troska o jajniki kobiet i jądra mężczyzn. I udział w tym wydawnictwa, twórców. Wspaniała perspektywa. Gratuluję.

Była redaktora nie wytrzymała:



— Skończ z tym! Co cię napadło? — spytała łamiącym się głosem. — Proszę cię...

— Chcę ci pomóc w podjęciu rozsądnej decyzji — stwierdził wielkodusznie.

Spojrzała nań z wyrzutem.

— Dlaczego mnie nie lubisz? — Chwilę czekała na odpowiedź, a gdy ona nie padła, ponowiła pytanie w innej formie: — Za co się tak nade mną znęcasz?

Olgierd nie mógł słuchać tego płacznego głosu.

— Marku — zwrócił się do przyjaciela — świetny z ciebie kpiarz. Potrafimy to docenić. Dałeś Renacie wiele do myślenia. — Objął go ramieniem. — Chodź, ja też chcę cię prosić o pewną radę.

Ku zdumieniu pozostałych, tamten uległ woli gospodarza i opuścił pokój z głową pochyloną jak dziecko skarcone przez dorosłych.

— Co cię gryzie? — spytał Olgierd przyjaciela, gdy znaleźli się w pokoju Renaty.

Gość skurczył się, jakby go brzuch bolał.

— Za dużo wiem, za długo żyję — wyznał zmęczonym głosem. — Ta świadomość męczy.

— O czym wiesz za dużo?

— Powinienem odbyć dłuższą podróż. Najlepiej na północ, gdzie jest mniej ludzi, a niektóre wyspy nie są zamieszkałe.

— Co cię trapi? Przed czym chcesz uciekać?

— Chciałbym pobyć nad jakimś wielkim, głębokim fiordem — marzył dziennikarz — i żyć bez radia, bez książek i gazet... Bez tych wszystkich nieprzydatnych mądrości... I gdybym jeszcze mógł zapomnieć, skąd nad ten fiord przybyłem... Tak mi się marzy ucieczka z miasta... Od tych wszystkich mądrali, od wielkich i małych spraw... Potrzebuję długiego urlopu daleko stąd...

— Nikt od ciebie nie żąda pamięci o tym, kim jesteś.

Marek Raczek uderzył palcem w miejsce, gdzie biło jego serce.

— Bez przerwy mi przypomina.

— Przesadzasz. Piękne, romantyczne wyolbrzymianie uczuć.

— I to mówisz ty, który z każdego rejsu wracasz do macierzystego portu?

— Po prostu takie są kursy statków. Zmieniają je, to długo nie będziesz mnie oglądał.

A może już nigdy więcej...

— Nie, mój drogi, ty też nie potrafiłbyś żyć bez tej... bez tej ojczyzny. Bez względu na to, jaka jest, bez względu na to, co cię spotyka po powrocie do niej.

— Jesteś staroświecki. Potrafiłbym, zapewniam cię.

— Owszem, jestem. Nie wstydzę się swego patriotyzmu i nie boję się mówić, że będę walczył z tymi wszystkimi gnojkami, dla których słowa „kraj”, „ojczyzna” nic już nie znaczą. — I przypomniał Olgierdowi, że pochodzi z Gostynia Wielkopolskiego, w którym co świątlejsi obywatele w okresie rozbiorowym, pragnąc zachować polskość tych ziem, zorganizowali się w Kasynie Gostyńskim, założyli bibliotekę, wydziały literacki oraz rolniczo-przemysłowy, a wszystko po to, by nie ulec silniejszemu, bogatszemu zaborcy. Jeden z przodków Marka Raczka prowadził amatorski teatr, inny tworzył muzeum. — Takie są moje tradycje — rzekł w końcu. — Czy mogę więc obojętnie patrzeć na tych, którzy gotowi są się zaprzedać, stać się niewolnikami, robić byle co, byle przetrwać? Twoja żona stoi przed wielką szansą wyboru, pomóż jej, może od jutra zacząć żyć inaczej...

— Nie tylko przesadzasz, ale i wielu tu obecnych obrażasz — hamował go Olgierd.

— Przepraszam nie będę.

— Nie popierasz zjednoczonej Europy — domyślił się Olgierd.

— Bzdura! Chcę tylko, byśmy nie zapomnieli o swej narodowości.

— Może bezpowrotnie mija czas narodowych antagonizmów, wojen o kawałek ziemi?

— Ale czas dla różnych ciemnych interesów, dla kombinatorów umiejących wykorzystać wielkie hasła jednoczącej się Europy dla siebie, dla swoich egoistycznych celów pozostaje. Tego się boję, przed tym przestrzegam.

— Wciąż otrzymujesz anonimy? — domyślił się znowu Olgierd. — Masz podejrzenia, od kogo pochodzą?

— Od myśliwych polujących na taką zwierzynę, jak ja! — Zaśmiał się. — Są jeszcze, jak podczas każdego polowania, naganiacze o ograniczonej roli. Niebezpieczni przez sam fakt służenia owym myśliwym, których należałoby nazwać kłusownikami, ale nie można, bo mają odpowiednie legitymacje.

I nie czekając na reakcję Olgierda, ruszył schodami na parter, do zastawionego alkoholem stołu.

— Szukajcie na mapie kraju białych plam dla swych inicjatyw. — Wypełniał pokój złotą radą Bartłomiej Kłyś. — Są takie miejsca, tam szanse dla ambitnych, gotowych tworzyć coś od podstaw! I tam zapomnicie o bezrobociu, o swej nieprzydatności gdzie indziej.

Ta noc dla Olgierda trwała krótko, była koszmarne, upłynęła na ciągłej niepewności, czy szukając toalety, trafił na właściwą drogę, i na snach dręczących, powodujących pocenie się, wywoływanie bełkotliwych okrzyków. Znikąd nie mógł oczekiwać pomocy. Wiedział o tym, ale wciąż się łudził, że powinna nadejść. Czuł wszystkie swoje wnętrzności, ciążyła mu głowa, ręce i nogi. Gdyby bez strachu przed bólem można pograć się w wodzie — przyjąłby wyrok śmierci. Nie wierzył w taką możliwość, a zatem nie pozostało mu nic innego, jak tylko przygotować się do kolejnego dnia życia.

Gołąc się, spojrzął w swoje odbicie w lustrze. Tępa, nabrzmiata twarz z podkrążonymi oczyma. Zmierzwił włosy. Nerwowo drżąca ręka z pędzlem. Co za koszmarne dni urlopu! Wstrząsający, odrażający widok. Na morzu nigdy tak okropnie nie wyglądał! Brrr...

Przez ponad godzinę odzyskiwał stan trzeźwości. Ogolony, odświeżony, skropiony wodą po goleniu *Copacabana*, w czystej koszuli: sprawiał wrażenie schludnego pacjenta, kierującego się do gabinetu gastrologa.

Za oknami siał deszcz, ciężkie mokre gałęzie tworzyły za szybami nieprzejrystą ścianę. W pokoju było chłodno, więc założył wełniany sweter. Pachniało perfumami Christiana Diora *Poison*, a więc Renata powinna być gdzieś w pobliżu. Nie przywoływał jej, chodził z pokoju do pokoju i szukał. Nigdzie jej nie zastał, a zatem wyszła. Zatrzymał się przed lustrem w przedpokoju. Zmrużył oczy, wykrzywił usta. Tak, już panował nad mięśniami twarzy, też może iść między ludzi. Wziął parasol i zajrzał do garażu. Renata pojechała samochodem. Deszcz i brak wozu zniechęciły go do opuszczania domu, wrócił do mieszkania, zrobił sobie mocną kawę i siadł w fotelu przed telewizorem. Młody mężczyzna, niemiłosiernie kaleczący język polski, uparcie przypominając, że pochodzi z *Charlottenbrunn*, czyli z Jedliny Zdroju, przekonywał o potrzebie stawiania pomników poległym w drugiej wojnie światowej, nie tylko polskim, ale i niemieckim żołnierzom, do ekshumacji zwłok i zwożenia ich na cmentarz koło Starego Czarnowa opodal Szczecina. Prowadząca audycję dziennikarka przyjmowała jego argumenty spokojnie i nie było widać z jej strony najmniejszej gotowości do polemiki. Olgierd na tyle wytrzeźwiało, że zrozumiał złożoność problemu. W kraju, który wydawał się ziemią jednego narodu, o jednej historii, w imieniu mniejszości narodowej żyjącej od wielu stuleci w południowym regionie, ktoś upominał się o nową ocenę przeszłości, o inną historię, ba, nawet o przywracanie nazw miast, wsi sprzed drugiej wojny światowej. Olgierd czuł się podobnie zakłopotany jak dziennikarka niepotrafiąca w tej sprawie określić swego stanowiska. Rosła w nim tylko

wrogość do tego młodego człowieka, niechętnie mówiącego w języku polskim i do tych wszystkich, którzy są do niego podobni. „Właśnie tacy faceci — myślał — faceci, wyglądający niewinnie, żądający tak niewiele, bo tylko pamięci o poległych, poletka na cmentarza dla nich, niosą pytanie o przyszłość tego skrawka ziemi, do którego wciąż jeszcze chce się powracać z dalekich rejsów.

— Ten problem — mówiła w telewizyjnym okienku dziennikarka — musi być rozpatrywany w szerszym kontekście, w kontekście naszej przynależności do zjednoczonej Europy. Niewątpliwie jest to też zagadnienie godne uwagi działaczy z ponadregionalnego stowarzyszenia.

Na ekranie telewizora marki Sony pojawiła się twarz niebieskookiego blondynka. Sprawiał wrażenie, jakby nogi miał uwięzione we wnykach. Cierpiał, ale godził się z tym, że jest w pułapce. Męczył się, lecz uśmiech nie schodził mu z twarzy. Stał na tle drogowej dwujęzycznej tablicy i dawał widzom do zrozumienia, że są realizowane postulaty wysuwane przez mniejszość narodową — „no, proszę, i stało się coś złego, zaszkodziło to komuś, zmienił się charakter drogi?”.

„Gnojek! — pomyślał o nim Olgierd. — Kogo się boi? Żyje w wolnym kraju, niech mówi swoim głosem”.

Zatęsknił za dziką Afryką.

Wróciła Renata ze świeżym pieczywem, serem, i co najważniejsze — z kartonikami maślanki, jogurtu. Wczorajsi goście opróżnili dom nie tylko z alkoholu, soków i wody mineralnej; w lodówce pozostała jedynie zamrożona kostka masła.

Renata rozebrała się i zaczęła przygotowywać opóźnione śniadanie. Olgierd przypatrywał się żonie w milczeniu. Pod cieniutkim szlafrocikiem wyraźnie rysowały się kształty jej ciała, urzekały mężczyznę, jego wyobraźnię, wywoływały pragnienie zbliżenia się do nich, objęcia, pieszczona. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie jest to możliwe, mogłaby go spoliczkować za napastowanie, albo roześmiać się drwiąco. Nie, takiej zniewagi by nie zniósł, więc przyglądał się jej biernie i zachowywał odpowiedni dystans wobec żony, czekającej na rozprawę rozwodową.

— Co sądzisz o wczorajszym spotkaniu? — spytał.

Wzruszyła ramionami.

— Na pewno na nikogo z tych goszczących u nas nie mogę liczyć.

— A co powiesz o ich poglądach?

— Słuchałam i obserwowałam twoje reakcje. Nie rozumiesz współczesności. Twoje poglądy są zaściankowe. Widzisz prawą rękę, lewą rękę, nogi i myślisz, że wiesz

wszystko o człowieku, bo aż tyle spostrzegłeś. Bzdura. To za mało, by żyć z takim przeświadczeniem.

Istotnie, miał przed oczyma jej ciało, mógłby o nim bardzo wiele powiedzieć, ale Renata wciąż pozostawała dla niego tajemnicą. Co zrobić z taką zagadką, której nie można rozwiązać? Męczyć się dalej, stale próbować i próbować czy zaniechać trudu? Ale w imię czego, w imię jakiej relacji między nimi?

Był koło niej, lecz chyba to wszystko i nic więcej.

Dalej zabiegać o prawo do tego pięknego ciała czy poddać się, zrezygnować, pogodzić się z faktem, że to przeszłość i już nie myśleć o tym więcej?

Tymczasem Renata nadal się nad nim znęcała:

— Urządziłeś się w życiu wygodnie. Twoją drogę wyznaczają boje, morskie latarnie, latarniowce. Wystarczy, że w porę zauważysz światła latarniowca *Ambrose* i bezpiecznie wejdiesz w dorzecze nowojorskiego Hudsonu. Ja takich ułatwień nie mam. Ja muszę swej drogi szukać w ciemności. Żadna latarnia mi jej nie wskaże.

„Ciemność...? O jakiej ona mówi ciemności?”.

Jego też otoczył mrok. Mrugał oczyma, przecierał. Ani jednej boi, latarni morskiej, tylko jak przez mgłę rozchylający się na piersiach szlafroczek, niżej, niżej jeszcze niżej błysk kolana.

— Nie mówmy dziś o rozwodzie — zaproponował, wyciągając w jej stronę dłoń, jakby na zgodę, dłoń z dużymi wątrobowymi plamami. Zawstydział się ich, wiedział, jak je odczyta Renata. Alkoholizowanie się na zdrowie nie wychodzi! — Porozmawiajmy o twoim wydawnictwie. — Zrobił dramatyczną pauzę, stopniując napięcie. — Dam ci pieniądze, pozwolę na ścianie domu wywiesić tablicę z nazwą oficyny. — Zastanowił się chwilę. — Nie uważasz, że byłoby dobrze pozyskać do współpracy Marka Raczka?

Miał nadzieję, że jego oświadczenie wpłynie na lepsze samopoczucie Renaty, tymczasem ona zachowała się powściągliwie, nie zdradzając żadnych uczuć, jakby przedwcześnie nie zamierzała dzielić skóry na niedźwiedziu.